Natalia Dominik – **Silesia**

25 października, rok 1858… to właśnie w tym dniu, nieopodal Żarowa, a dokładnie w Ida und Marienhütte , powstała ,,Fabryka Chemiczna Silesia". Od 1862 roku rozpoczęto tam produkcję m.in. soli glauberskiej, wapna chlorowanego, ługu żrącego, sody krystalicznej, kwasu azotowego i superfosfatu.
Rzec można by było - rozwój, to czego potrzeba, aby przyszłym pokoleniom żyło się lepiej. Ale czy tak właśnie się stało? W 1872 roku fabryka zamieniła się w spółkę akcyjną - „Zrzeszenia Fabryk Chemicznych Silesia S.A." („Silesia Verein Chemischer Fabriken A. G.").

Funkcjonowała ona bardzo sprawnie i nawet pomimo pożaru w 1897 r. nie traciła na znaczeniu i bardzo szybko została przywrócona do pierwotnego stanu. Jednak miała ona także kryzys – w nocy z 6 na 7 maja 1917 roku na oddziale benzolu wybuchł ogromny pożar, który zniszczył między innymi zakład produkcji kwasu siarkowego.
To wydarzenie zapoczątkowało strach o losy fabryki. Do tej pory wszystko wydawałoby się w normie – praca z substancjami chemicznymi wcale nie należy do bezpiecznej, a ryzyko pożarów, wybuchów, etc. jest czymś, co nie powinno dziwić. W końcu człowiek uczy się na błędach i przekazuje ten rodzaj nauki dalej.
Nadszedł jednak czas I Wojny, fabryka przepełniona została jeńcami wojennymi, których wykorzystywano do produkcji wyrobów militarnych, co dalej? Czy właśnie takie miało być jej pierwotne przeznaczenie?
– Nie wiem.
Urodziłam się w tym czasie, więc jako bobas nie rozumiałam nawet słowa ,,mama", a co dopiero ''Fabryka". Historię tej fabryki znam z opowieści taty, gdy byłam już nieco starsza zainteresowałam się jej tematem, bo jako mała dziewczynka chciałam zostać chemiczką. Niebawem niestety przyszło mi zetknąć się ''oko w oko" z „ciemną stroną" fabryki. Tak, wybuch II Wojny – to właśnie to wydarzenie otworzyło mi oczy i marzenia o byciu chemiczką poszły w niepamięć.
Byłam świadkiem jak ludzie siłą zaciągani są do fabryki, lecz nie wiedziałam co tam robili, do czasu. W końcu i los chciał, abym i ja trafiła tam. Obrazy jakie miałam przed oczami sprawiły, że wręcz zaczęłam przeklinać swoje dziecięce marzenia związane z chemią. Obserwowałam tych wszystkich ludzi skupionych na pracy, która niosła zwykłym, niczemu winnym ludziom z ulicy śmierć. Ale w końcu to wojna, nie powinny mnie poruszać takie rzeczy, śmierć podczas wojny jest czymś oczywistym, staje się rutyną.
Pracownicy wówczas produkowali włókna lateksowe dla lotnictwa III Rzeszy, a także materiały wybuchowe. Było jednak coś jeszcze, o czym nikomu nie można było mówić, bo to groziłoby rozstrzelaniem lub komorą gazową…
Jako, że byłam osobą pomagającą w pracach polegających na sprzątaniu, to nie miałam dostępu do większości informacji, bardziej polegałam na tym, co usłyszałam, bo producenci rozmawiając między sobą po niemiecku zazwyczaj, nie byli świadomi, że biegle posługuję się i znam ten język –,, niech pozostaną w niewiedzy" – myślałam wtedy.

W swojej „pracy”, która była wyczerpująca i nagradzana jedynie, a może i aż niewielką ilością jedzenia, poznałam Władysławę, kobietę kilkanaście lat starszą, która także sprzątała. Nawiązałyśmy dobry kontakt pomimo różnicy wieku, można powiedzieć, że stałyśmy się nawet przyjaciółkami. Władka (bo tak pozwoliła mi do siebie mówić) trafiła tutaj „na własne życzenie”, bo zaciekawiona niegdyś postanowiła zrobić obchód wokół fabryki, ale szybko została schwytana przez straże pilnujące wejść do tego miejsca.
Po kilku tygodniach pracy fizycznej, która przestała polegać już tylko na bieganiu z miotłami i szmatami, a zaczęła opierać się na dźwiganiu różnych ciężkich skrzyń, do których nie można było nam zaglądać, razem z Władką stawałyśmy się coraz bardziej wykończone, ale też poznałyśmy się nieco bardziej. Opowiedziała mi wówczas historię o swoim mężu, zresztą codziennie wspominała o nim, a każdy dzień kończyła słowami „Stasiu, gdziekolwiek teraz jesteś – pamiętaj, spotkamy się, nieważne czy po drugiej stronie muru, czy po drugiej stronie nieba.” Wyciągała także jego małą fotografię i całowała roniąc ukrycie łzę, ale ja to widziałam.

Praca w Fabryce podczas wojny stała się dla nas pewnym przywilejem wręcz. Byłyśmy mniej narażone na niespodziewaną śmierć na ulicy. Przepłaciłyśmy za to jednakże wysoką cenę – zdrowie psychiczne i fizyczne. Zresztą, co tu dużo opowiadać – wyobraźcie sobie niewolniczą pracę na rzecz Niemiec podczas II Wojny Światowej.

Finalnie zamknięte w fabryce niemalże przez cały okres wojny (większość ludzi dojeżdżała tam, ale nas nie wiadomo z jakich przyczyn potraktowano ulgowo i dano nam jeden pokój w baraku obok miejsca pracy. Ponoć jednym z powodów były „piękne oczy” – jak to powiedział jeden z niemieckich nadzorujących), przeżyłyśmy, co graniczyło z cudem, ale nie wyszłyśmy z niej takie same… Po wojnie niegdyś piękne, zgrabne kobiety zamieniły się w wyglądające jak trupy – blade, wychudzone aż do kości postacie, a silne i pewne siebie charaktery schowały się w cieniu przeróżnych lęków i wiecznego poczucia strachu. Ale nie to wtedy było dla nas ważne…

Nadszedł rok 1947. W piękny, słoneczny dzień razem z Władką stałyśmy na jakiejś polanie, jeszcze pośród kilku trupów i oddychałyśmy powietrzem, które także nosiło w sobie jeszcze ślady wojny. Władka odpaliła papierosa, bo jak to powiadała mi w dawnej pracy – tylko to dawało jej spokój choć w małym stopniu.
– Wiesz, że być może teraz stojąc tutaj, wolne, jesteśmy bardziej narażone na śmierć niż w Fabryce ? Kto wie, czy nie stoimy w miejscu, gdzie znajduje się jakiś niewybuch i za niedługo da o sobie znać? – zaśmiała się przy tym.
– Być może, ale czy to ma znaczenie teraz? W ogóle zastanawiają mnie wciąż te tajemnicze skrzynie, które dźwigałyśmy, ciekawe, co mogło w nich być… – odpowiedziałam.
– Elementy do produkcji pocisku rakietowego V2. – odrzekła Władka po wypuszczeniu dymu z ust.
– Wiedziałaś o tym i nic nie powiedziałaś?
– Grozili mi, zastraszali mnie, poddana byłam torturom w ukryciu. Tresowali mnie w ten sposób, abym siedziała cicho, bo usłyszałam gdy rozmawiali o tym.

– To stąd wszędzie te siniaki i rany na całym ciele, a mówiłaś, że to wypadki przy pracy… - powiedziałam ze smutkiem w głosie.
– Czasami milczenie jest złotem, a czasami czymś, co chroni cię przed śmiercią. – Władka tym zdaniem urwała temat , wyrzuciła niedopalonego papierosa i ruszyła przed siebie.
Idąc bez celu i tocząc rozmowy o Stasiu, o naszych rodzinach, z którymi nie wiedziałyśmy co się działo i przyjęłyśmy najgorszą wersję – śmierć, usłyszałyśmy nagle huk.
– Czyżby to jeszcze nie koniec wojny? – zapytała bez emocji, niczym niezdziwiona już Władka.
Głos huku dobiegał z Fabryki, w której pracowałyśmy. Nasze nogi same nas tam niosły, było nam już wszystko obojętne.
– A jeśli pójście tam sprawi, że nie przeżyjemy? – zapytałam.
– A co masz do stracenia? – zaśmiała się Władka i chwyciła mnie za rękę. – Idziemy. – dodała stanowczo, jakby potraktowała to wszystko jako dobrą rozrywkę.
Gdy dotarłyśmy pod fabrykę zobaczyłyśmy jak cała stoi w płomieniach. Ten widok przyniósł nam ulgę, a nawet uśmiechnęłyśmy się do siebie. Stałyśmy w ciszy, obserwowałyśmy. Nieważne było dla nas kto sprawił, że fabryka teraz pochłonięta jest na skutek wojującego ognia, ani nieważne było w jaki sposób do tego doszło. Ważne, że piekło, zostało zniszczone. Można powiedzieć, że ogień działał wtedy jak woda – gasił piekielny ogień. Po dłuższej chwili milczenia, refleksji dotyczącej naszej egzystencji powojennej i pustego wpatrywania się w ten obraz odezwałam się.
– I co teraz z nami będzie Władziu?
Ta wówczas odwróciła się, wyciągnęła zdjęcie Stasia i w milczeniu ruszyła naprzód, zadzierając głowę do góry i nabierając głośno powietrza.
Wtedy wszystko zrozumiałam.